

Spektakle jak tatuaż na duszy

Rewelacyjnym, autorskim spektaklem „Będzie pani zadowolona, czyli rzecz o ostatnim weselu we wsi Kamyk”, Agata Duda-Gracz odcisnęła najgłębszy ślad w pamięci tegorocznych widzów wielkopolskich teatrów. Ale ten rok przyniósł też znakomitą „Mewę” na gnieźnieńskiej scenie i zaskakująco ciekawą wersję „Nocy i Dni” w teatrze w Kaliszu.

Spektakl Agaty Dudy-Gracz w poznańskim Teatrze Nowym dostarcza niezwykle silnych przeżyć – emocjonalnych, estetycznych i muzycznych. Od obrazów widzianych na scenie nie sposób się uwolnić. Wystarczy wiatr usłyszeć i spojrzeć na falujące firanki albo pokryte białymi obrusami stoły. Jak widma wracają postaci spektaklu, snują się, nie pozwalają zasnąć. To jedno z tych przedstawień, o których nie uda się zapomnieć, jest jak tatuaż na duszy. Wstrząsająca opowieść z pogranicza jawy i sennych przywidzeń. Okrutna proza życia, wsadzona w poetyckie ramy. Symbol miłości, która nie jest w stanie udźwignąć bólu odrzucenia. Aktorzy w roli psychicznie zdeformowanych, okaleczonych jednostek – rewelacyjni!

Agata Duda-Gracz sama napisała tekst, wyreżyserowała go, wymyśliła scenografię i kostiumy. I pozwoliła aktorom samodzielnie odnaleźć się w wiejskiej społeczności, pełnej skrzywdzonych, psychicznie zdeformowanych, okaleczonych jednostek. Każda z nich przytargała swoją historię na wesele. I w odpowiednim momencie podzieliła się nią z weselnymi gośćmi. Historie weselników przeplatają się i zalegają. Każda scena spektaklu ma swoją retrospektywę, swoje odwołanie do przeszłości, odpowiadającej za kształt teraźniejszości. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Trudno o bardziej spójną i konsekwentną reżyserską robotę. Teatralny język Agaty Dudy-Gracz zbudowany jest z emocji i obrazów. Pozbawiony intelektualnego nadęcia. Refleksja nad intensywnie przeżytym, prawie do fizycznego bólu, spektaklem pojawia się znacznie później. Najpierw wciągają nas ludzkie losy – zaskakujące, przerażające, prawdziwe. Każdy z 19 uczestników wesela, po tamtej stronie stołu, wciąga nas w swoje życie. Chcemy się wysać uczuciowo, chcemy tych historii słuchać, chcemy je przeżywać. Leitmotywem spektaklu jest rytmiczne pojawianie się Widzącej zwaną Czarną Pizdą, wraz z jej wokalizami (znakomitymi) na scenę wkracza metafizyka – wieje wiatr, rozbudzając egzystencjalny niepokój i nic nie jest już takie, jakie jest.

Egzystencjalne lęki wyzwała też gnieźnieńska realizacja „Mewy” pokazana na rozpoczęcie obecnego sezonu artystycznego. Maria Spiss, która spektakl reżyserowała, udowodniła, że tekst Czechowa wrzucony w XXI wiek, broni się sam. Nie potrzebuje wspomaganie sztucznym płucosercem w postaci wątpliwych zabiegów „wzbogacających” go



o językowe ozdobniki, charakterystyczne dla współczesnego nam środowiska artystycznego.

Reżyserka postanowiła pokazać uniwersalność języka Czechowa, w znakomitym tłumaczeniu Jerzego Czecha, jego nieprzemijającą zdolność do trafnego opisywania i nazywania ludzkich uczuć. I nieważne, czy rzecz dzieje się w XIX-wiecznym rosyjskim siole czy współcześnie – gdzieś na wsi, nad zamrzniętym jeziorem.

Dzięki temu, że sceniczna wersja „Mewy” pozbawiona jest pewnych wątków pobocznych, powstała wartka opowieść, nadzwyczaj spójna, z niewielkimi tylko spadkami napięcia. Rzecz dzieje się współcześnie, w rewelacyjnie ubogiej, potraktowanej symbolicznie scenografii – większa część spektaklu rozgrywa się na pomoście, na zamrzniętym jeziorze, otoczonym przez lodowe skały (białe, nadmuchiwane w trakcie spektaklu „poduchy”).

Każdy z dziesięciu bohaterów „Mewy” (brawa należą się wszystkim aktorom!) inaczej radzi sobie z niedopasowaniem i nieadekwatnością swojego bycia „tu” i „teraz”. Ale żadnego z nich te emocje nie omijają. Jakby los specjalnie próbował połączyć w jedną całość niepasujące

do siebie części, a potem śmiał się do rozpuku, że jednak się nie da. Nikt tu nie jest szczęśliwy. Cierpią wszyscy. I właśnie umiejętność cierpienia – okazuje się najistotniejsza, to ona pozwala przetrwać twórcom, mimo bólu i porażek.

Przez „Noce i dni”, uznawane za najlepszą powieść w historii polskiej literatury, młodym ludziom trudno przebrnąć. Uznają ją za staroświecką i nudną. Seba Majewski na kaliskiej scenie zrobił spektakl, który wprowadza bohaterów Marii Dąbrowskiej do naszego świata. I opowiada o losie Barbary, która żyła zawsze „do tyłu”, bo nie umiała wyobrazić sobie jutra. Kto spodziewa się, że zostanie zaproszony do dworku w Serbinowie, gdzie wypije herbatkę z Barbarą i pośmieje się z niezdarne, zakochanego w niej po uszy Bogumiła, jest w błędzie. Dworek i owszem jest, ale pełni rolę parawanu, zasłaniającego scenę, upstrzoną podestami „porośniętymi” piankowym zbożem. W tak uniwersalnej scenerii toczyć się będzie przez dwie godziny opowieść o Barbarze i bohaterach „Nocy i dni”. Adaptacja Seba Majewskiego i Tomasza Jękota jest przemyślana i jędrna. Zbudowana wokół jednego z wydarzeń powieści, kiedy to Celina Mroczkówna, nauczycielka dzieci Niechciców, wyskoczyła przez okno. To, co dzieje się na

scenie, odniesione jest każdorazowo do tego faktu. Aktorzy snują opowieści, w których centrum znajduje się Barbara – historyczna, owładnięta paraliżującym ją lękiem, przez co nie może odnaleźć się w świecie. Obok niej – wcale nie „święty” – Bogumił, który przekroczył właśnie smugę cienia. Co ciekawe, opowieści snują głównie oryginalnym językiem Marii Dąbrowskiej (przeplatane w niewielkim stopniu tekstem współczesnym). A mimo to, widz ma wrażenie, że to język mu bliski. Świetnie spisują się aktorzy, odziani we współczesne stroje, czarne jak żałoba po Dąbrowskiej i jej świecie, który bezpowrotnie odszedł. Opowieść Majewskiego wciąga widzów bez reszty. Pozwala zapomnieć, że czas płynie zawsze od przeszłości do przyszłości. Świetną decyzją realizatorów była rezygnacja z drwiny czy szyderstwa, jako metody interpretacji powieści. Przeciwnie – w kaliskiej realizacji widać autentyczną fascynację reżysera tekstem i osobą Marii Dąbrowskiej.

Autor: Iwona Torbicka

Zdjęcie: Mariusz Forecki/scena ze spektaklu „Będzie pani zadowolona, czyli rzecz o ostatnim weselu we wsi Kamyk” w reż. Agaty Dudy-Gracz